

VALENTIN MANDELSTRAMM.

## FATALNY DYAMENT.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

1

Dzień był marcowy, zimny i pochmurny. Ostry, dokuczliwy wiatr pędził tumany śniegu przez ulice miasta, na których już mdłym światłem migotały latarnie gazowe, wstrząsane silniejszym podmuchem.

Tak, jak to bywało codziennie, około godziny czwartej po południu, Jérôme Versigny, znany w Paryżu bankier, ukazał się w wejściu, prowadzącem do biur swoich. Biura te zajmowały trzy piętra olbrzymiej kamienicy, mieszczącej się przy ulicy Pillet-Well.

Przechodząc koło łoża woźnego, starego, wysłużonego żołnierza, odpowiedział lekkim skinieniem głowy na jego wojskowy ukłon i machinalnym ruchem poprawiając monokl udał się na schody.

Bankier Versigny był to człowiek już starszy o długim siwiejącym wąsie. Ubrany był w szerokie futro, którego kołnierz w tej chwili podniesiony był wysoko. W jednej ręce trzymał czarną laskę ze srebrną główką, w drugiej zaś duży portfel z czerwonej skóry.

W przedpokoju drugi woźny, Edward, urzędowy i poważny, rezydował za stołem, pokrytym suknem zielonym; zajęty był porządkowaniem ogromnego stosu papierów i tak był przejęty tą czynnością, że nie zauważył wejścia bankiera. Spostrzegł go dopiero, kiedy Versigny, przeszedłszy szybko obok niego, znajdował się już w pośrodku sali. Zerwał się pospiesznie, lecz bankier ruchem ręki powstrzymał go i nie wyrzekłszy słowa, skierował się do swojego gabinetu.

W chwilę później dzwonek telefoniczny zawezwał woźnego do aparatu. Bankier Versigny ze swojego gabinetu wydawał rozkazy.

— Proszę pod żadnym pozorem mnie nie niepokoić. Nie mogę obecnie przyjmować nikogo, ani interesantów, ani nikogo z urzędników, nawet pana Delong. Muszę pracować, zawiadomię was, kiedy będę wolny. Zrozumiano?

— Tak, proszę pana — odpowiedział woźny. — Ale może pan życzy sobie przejrzeć listy i telegramy?

— Nie. Proszę zachować je, aż zażadam.

— Dobrze, proszę pana.

Woźny już miał zawiesić słuchawkę, kiedy jeszcze dobiegł go głos bankiera.

— Gdyby mnie wzywano do telefonu, trzeba powiedzieć, że niema mnie w biurze. Zrozumiane?

— Tak, proszę pana — powtórzył woźny, przyzwyczajony od lat do surowej karności, bo bankier Versigny, chociaż łagodny był dla służby i wyrozumiały, wymagał zawsze bezwzględного posłuszeństwa.

Woźny powrócił do swojego zajęcia, zauważywszy tylko, że jego pan był znowu przeciążony pracą i że musiał być przeziębiony, gdyż głos jego w aparacie był jak gdyby zmieniony i zachrypnięty.

W godzinach następnych woźny miał niemało czynności. Przyjął i odprawił kilkunastu klientów, pomiędzy którymi był i emerytowany minister, trzech posłów, pani starsza, przychodząca z kwestą na rzecz niewiadomej sprawy, kilku urzędników, w końcu pan Delong, prawa ręka bankiera, który zdziwił się bardzo, odebrawszy zlecenie woźnego.

Kilkakrotnie również zadzwiewał dzwonek telefonu i woźny wszystkim, proszącym o rozmowę, niezmiennie odpowiadał, że pana Versigny niema w biurze.

Pocziwy człowiek nie miał nawet czasu przejrzeć „Wiadomości z wyścigów“, którymi interesował się silnie i musiał odłożyć tę przyjemność do godzin wieczornych.

Nareszcie prywatny telefon bankiera, dochodzący z jego gabinetu, zawezwał go do rozmowy.

— Proszę przywołać do mnie pana Bulot — brzmiał rozkaz — ale zaraz go przyprowadzić! Czekam!

Pan Bulot był starym ekspedjentem, bezsilnym już i schorzałym, ale Versigny dotąd nie spensjonował go jeszcze, oceniając jego bystrość orientacji i zdolności fachowe.

— Coś jest nowego — myślał woźny, idąc główną galerią do biur kasowych, gdzie urzędował stary Bulot. — Szef już dawno nie konferował z tym starym gratem. Pomyślał również, że niepotrzebnie fatyguje się, gdyż bankier mógł zawezwać urzędnika przez telefon. Poszedł jednakże

i wkrótce powrócił, prowadząc pod rękę ledwie posuwającego się staruszką, bardzo zdziwionego tem nagłym zawezwaniem.

— Co on może chcieć odemnie? Ciekawy jestem, co on może chcieć? — powtarzał pan Bulot, trzęsąc głową.

— Zaraz się pan o tem przekona! — odpowiedział woźny, popychając go lekko ku drzwiom dyrekcyjnego pokoju, które otworzył szeroko, przepuszczając starego i następnie starannie zamknął za nim.

Uplynał czas jakiś. Woźny był jeszcze zmuszony odprawić parę osób i zaczął się niecierpliwie przedłużoną rozmową bankiera ze starym urzędnikiem. Było w tem coś nienormalnego.

Nagle, lekkie skrzypnięcie podłogi wyrwało go z tych rozmyślań. Przez uchylone drzwi od gabinetu dojrzał czerwoną, spoconą twarz pana Bulot.

— Panie Edwardzie! Panie Edwardzie! — pytał stary — Czy tam niema pryncypała?

Woźny doznał wstrząśnienia.

— Jakże może tu być — odpowiedział — kiedy w gabinecie swoim miał oczekiwać na pana! Cóż pan robił przez cały ten czas?

— A cóżby? Czekałem cierpliwie. Myślałem, że pan Versigny zajęty był w którymś z biur. Spodziewałem się co chwila, że nadejdzie — szeptał z coraz większym przestachem staruszek. — W końcu pomyślałem, że źle zrozumiałem życzenie pana pryncypała i chciałem się zapytać pana, panie Edwardzie.

Ale woźny, grzecznym ruchem odsuwając pana Bulot od drzwi, już wbiegł do gabinetu.

Był to obszerny, jasny pokój, skromnie umeblowany. Na ścianach zwisały się ciężkie dywany. Na blyszczącej podłodze stały gdzieśgdyś porzucane głębokie amerykańskie fotele i mahoniowe pułki pokryte papierami. W pośrodku duże biurko ze szklanym blatem, na którym znajdowała się lampa elektryczna, dwa aparaty telefoniczne, maszyna do pisania, wielki kalendarz, bloki do zapisków i teczka.

Za biurkiem wznosiła się kasa ogniotrwała.

Woźny, który na chwilę przypuszczał, że wiadomość otrzymana jest wynikiem chwilowego osłabienia mózgowego chorego staruszką, skonstatował teraz ze zdumieniem, że bankier Versigny nie znajdował się w gabinecie.

— Rzeczywiście! Niema go tu — szepnął po chwili milczenia.

Szybko poszukał spojrzeniem futra, kapelusza i laski ze srebrną gałką, ale i tych nie odnalazł.

— Może pryncypał wyszedł w czasie, kiedy pobiegłem po pana — rzekł zwracając się do pana Bulot. Poinformuję się u portyera.

Woźny, który miał tę czynność powierzoną, mógł doskonale z łoża swojej oszklonej widzieć przechodzących przez halę wejściową. Oświadczył też, że przed dwudziestoma minutami bankier przechodził tędy, dając na ulicę.

— To ciekawe! To jednak ciekawe! — mruczał woźny Edward, powracając do przedpokoju, podczas kiedy stary Bulot drepnął za nim, powtarzał w kółko:

— Pryncypał mnie zawezwał i wyszedł nagle... Pryncypał mnie zawezwał i wyszedł nagle...

Woźny jednak trochę zaniepokojony poszedł uprzedzić o zdarzeniu pana Delong. Tenże okazał nieznaczniejsze zdziwienie.

— Myślałem, że może pryncypał wstąpił do pana przed wyjściem — dodał woźny.

— Nie widziałem go dziś jeszcze — brzmiała odpowiedź — i nie rozumiem tego zamknięcia się w gabinecie, skoro mieliśmy dziś właśnie kilka ważnych spraw do załatwienia. Proszę mnie uwiadomić, jak tylko pan Versigny powróci.

W chwili zamknięcia biur o godzinie szóstej wieczorem, bankier Versigny jeszcze się nie pojawił. Podobny wypadek zdarzył się po raz pierwszy, odkąd prowadził dom bankowy przy ulicy Pillet-Vill.

Pan Delong i woźny Edward pozostali ostatni. Przed odejściem zatelefonovali do prywatnego mieszkania bankiera w alejach Lasku Bulońskiego. Odpowiedział im służący, że pan Versigny wyszedł zaraz po śniadaniu i jak zazwyczaj powrócić miał dopiero w godzinie obiadowej.

— Pozostaje nam tylko jedna rzecz — zaopiniował pan Delong, rozłączając się z woźnym na ulicy — czekać do jutra.

— A jeżeli stało się coś niedobrego z panem pryncypałem? — odważył się powiedzieć woźny.

— To w każdym razie nic nie zyskamy na czekaniu o tej porze w biurze — odpowiedział pan Delong. — Zresztą skąd takie przypuszczenia. Pan Versigny widocznie był zmuszony wydalic się z biura

i wieczorem powróci do swojego biura. My zaś, jak powtarzam, musimy czekać do jutra.

Mówiąc to pan Delong oddalił się.

Słowa te jednak nie uspokoiły woźnego. Nieprzejmne, niepokojące wrażenie wzrastało w nim, wywołując przecucie jakiejś katastrofy.

Nie mogąc jednak nic temu przeciwdziałać, udał się na dworzec świętego Łazarza, ząd odjechał do Colombes, gdzie stale zamieszkiwał wraz z żoną, dzielną kobietą trudniącą się kwieciarstwem.

Choć od lat wielu żył z nią w idealnej zgodzie i spokoju, tego wieczoru, zdenerwowany i niespokojny, ciągle szukał sposobności do sprzeczki, w końcu nie tknąwszy prawie obiadu, udał się na spoczynek.

Nazajutrz tak, jak to czynił codziennie, odjechał pierwszym pociągiem do Paryża. Usiadł w rogu wagonu, nie chcąc brać udziału w rozmowach współtowarzyszów i zatopił się w czytaniu ulubionego dziennika „Petit Parisien“. Ale nagle drgnął tak silnie, że o mało dziennika nie wypuścił z ręki. Na drugiej stonicy bowiem dojrzał napis zredegowany tłustym drukiem, do którego instynktownie przyłgął oczami: „Tajemnicze morderstwo w hotelu na ulicy Heldez“.

Zaczął czytać, a litery skakały mu przed jego spojrzeniem, jak szalone. Z trudem zdołał się opamiętać i zrozumieć treść czytanego artykułu:

„W hotelu, na ulicy Heldez, odkryto wieczorem zwłoki podróżnego, który przybył tam w godzinach porannych. Został zamordowany uderzeniem sztyletu w plecy. Akt zbrodni, według wszelkiego prawdopodobieństwa, miał miejsce po południu. Podróżny ów został zapisany w książkach hotelowych pod nazwiskiem pana Conventry. Był niskiego wzrostu i dobrej tuszy“.

Doczytawszy do tego miejsca, woźny odetchnął z ulgą. Lecz oddech ten był tak nienaturalny i głęboki, że zwrócił uwagę sąsiadów, którzy zwrócili się zaniepokojeni.

— To nie! — uspokoił ich woźny, wycierając chustką spocone czoło — Miewam od czasu do czasu silne duszności.

I w duchu zaczął sobie czynić wyrzuty za nurtujące go złe przecucia od dnia wczorajszego. — Przecież był tak naiwny, że powodując się nic nieznającym faktem opuszczenie biura przez swojego szefa — mógł przypuszczać przez chwilę, że tym zamordowanym człowiekiem był właśnie pan Versigny!

Uspokojony już czytał dalsze wiersze zakończone artykuł. Podróżny w ciągu dnia przyjmował jakiegoś nieznajomego. Opis tego ostatniego: obszerne futro o podniesionym kołnierzu, laska ze srebrną gałką, duża teczka ze skóry czerwonej pod pachą.

Tego już było za wiele na wytrącone z równowagi nerwy biednego woźnego. Zbladł gwałtownie i zanim mógł ktoś z obecnych przyjść mu z pomocą, usunął się zemdlony na ławeczkę wagonu.

## Zbrodnia przy ulicy Heldez.

Do hotelu „Princelet“ przy ulicy Heldez zgłosił się był w rannej godzinie niejaki pan Conventry, który oznajmił, że przybywa z Brukseli i wybrał sobie dwa pokoje: salonik i sypialnię. Hotel „Princelet“ cieszył się zawsze dotąd jak najlepszą opinią. — Budynek sam, czysty i jasny, budził od pierwszego wejrzenia zaufanie. Uczęszczany był najwięcej przez kupców angielskich, niemieckich i belgijskich i przez poważne rodziny przybywające z prowincji.

Nowy gość, pan Conventry, był niski i barczysty i zdradzał flegmatyczne usposobienie. Ubrany był dosyć wytwornie i starannie. Spojrzenie jego, biegnące z pod krzaczastych brwi, uderzało przenikliwością, szeroki, kwadratowy podbródek maskował się dosyć dobrze pod gęstą, czarną brodą. Zaraz na wstępie oznajmił służbie hotelowej, iż zamierza na krótki tylko czas zatrzymać się w Paryżu, powołany gdzieś indziej pilnymi interesami. Miał ze sobą tylko niewielką ręczną walizkę i uiścił z góry zapłatę za pokoje, czego zresztą od niego nie żądano wcale.

W zachowaniu się jego służba hotelowa nie zauważyła nic nadzwyczajnego. Przebrawszy się na prędce, zaraz po przyjeździe wyszedł na miasto jeszcze przed śniadaniem. — Powrócił po południu i przechodząc obok łoża portyera, oznajmił mu, że oczekuje odwiedzin i prosi, aby zaprowadzono bezwzględnie do jego pokoju osobę, która się o niego pytać będzie.

Osoba ta przybyła wkrótce i zabawiła zaledwie pół godziny u pana Conventry.

Wieczorem, tego samego dnia, panna służąca, Bretonka, prosta dziewczyna, zapukała do mieszka-